Lwów, 8. Czerwca | №. 68. | Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. — półroczna 3 Złr. — kwartalna 1 Złr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziale za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po 1 1/2 kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*.

Powracającemu do Galicyi

Cesarzewiczowi Jego Mości

KAROLOWI LUDWIKOWI.

Gdyś ztąd odjeżdżał, **Książę dostojny!**
Poszła wieść głucha pomiędzy nami,
Że nie powrócisz, w kole rodziny
Milej **Ci** płynąć będą godziny,
Więc tam zostaniesz, a my znów sami,
Musimy pędzić żywot nasz znojny.

W tem słyszym z dala, że u stóp tronu,
Skoro stanąłeś, świadectwo chlubne,
Złożyłeś o nas, o naszej rzeszy,
I co nas boli i co nas cieszy,
I szczerze rzekłeś, co nam jest zgubne,
A co k' pożytku przyszłego plonu.

Więc śród spędzonych chwil tu niewielu,
Serc naszych głębię badałeś pilnie,
I losy nasze, i nasze sprawy,
Nasze nadzieje, nasze obawy,
I co narodem porusza silnie,
I co mu szkodzi w dojściu do celu.

Dzięki **Ci**, dzięki, **dostojny Książę!**
Za szczere serce, udział szlachetny,
Tyś nowym węzłem narodu z tronem,
Przymierzem silniej odtąd spojonem,
A i nas czeka ztąd zawód świetny,
Gdy taki węzeł z tronem nas wiąże.

Witaj nam, witaj! przybyciu **Twemu**,
Cieszą się wszyscy szczerą radością,
W naszej przyszłości cobądź nam padnie,
Wraz z **Tobą** wszystko nam pójdzie składnie,
A kogo naród darzy ufnością,
Niepodobnego nic niema temu!

GWIAZDA.

Epizod z życia wygnańca.

La morte è forse un peccato?
Lo sapeva ben io d'esser nato mortale.

Wichrami rozigrane morze wyrzuca na brzeg i mielizny różne przedmioty, które spokojnie w jego łonie drzemały. Wyrzucone stają się łupem chciwości ludzkiej, lub drapieżności zwierząt. A jeśli jako nieużyteczne, pominione zostaną, spali je słońce, wysuszą wiatry, a martwe i strupieszałe, świecą śmiertelną bielą pośród żywej, zielonej wegetacyi. Tak samo wyrzucają burze społeczeńskie dotknięte prądem ofiary na skaliste brzegi tułactwa, na suche i spiekłe mielizny niewoli i niedoli. A chociaż w koło takiego rozbitka hojnie szerzy się wegetacya, wesołe brzmią głosy szczęścia i zadowolenia; chociaż on sam często wirem tego obcego mu życia porwany w powszechny głos zawtórzy: serce jednak i dusza jego pozostaną zimne i obojętne na to, co tylko wyobraźnia zająć może.

Jest on plantą exotyczną, przesadzoną w obcą strefę ale liścia i kwiatu nie wyda, bo jej obcięto korzenie które zostały w ziemi rodzinnej. Taki człowiek liczy się w istocie do umarłych, bo pozbawiony wrażeń zewnętrznych, zasklepia się jak jedwabnik, wewnątrz przebytych swoich uczuć i marzeń, i stósownie do usposobienia tychże, utworzy sobie odrębny świat i światło, którem złudnie oświeca sobie ciemną ścieżkę niewolnej podróży. Z początku udesza nas i rozczula los tych nieszczęśliwych, lecz gdy podobne wypadki się rozmnożą, a my na nie właściwe znajdziemy nazwisko, puszczamy je mimo uszu i mimo serca, a wówczas zostają tym sposobem umarli, prawdziwie umarłymi, to jest zapominamy o nich.

Wszak i książki lekarskie przynoszą nam prawie co kilkanaście lat nowy rodzaj śmierci, któremu ulega organizm ludzki. Z początku szukamy dlań nazwiska z wyobrażeń psychologicznych, później w słabem półświetle błąka się ten pojaw po krainie fizyki, a zapełniwszy nakoniec drobnym drukiem jako *curiosum*, ostatnią kartę gazety, wpada do sieczkarni słownikarzy i terminologów; a ci ochrzciwszy go imieniem, przykazują mu wierny przybytek w stereotypowej encyklopedyi. Czytelnikowi czytającemu to przed rokiem okrzyczane *curiosum*, zdaje się ten już nazwa-

ny rodzaj śmierci, tak naturalny i pospolity, że się bynajmniej nad naturą tego pojawu niezastanawia.

Bo w istocie, któż umiera? Czy ten tylko, komu serce bić przestaje? komu, złożywszy go w trumnę, świece zapalą? czy ten któremu żałobny orszak pieśń pogrzebową zaśpiewa? Balady niosą, że umarli żyją po śmierci życiem upiorowem, że porywają kochanki, że wywierają krwawą zemstę na swoich nieprzyjaciołach. Miałożby to być tylko baśnią, tylko płodem chorej imaginacyi? Oświato dziewiętnastego wieku! ty się urągasz z tych podań, podczas gdy pod twem berłem tysiące zagrzebani żywo w grobach, żyją życiem upiorowem między żyjącymi!

Dla czegóż rozróżniać rodzaje śmierci? Czyż nie są umarli wszyscy ci, którym nie wolno być ludźmi, w skutek zbiegu dziwacznych okoliczności, którzy się wyparli uczuć ludzkich i tego, co istotę ich życia stanowiło? Dla czegóż mnie dzisiaj, po rezygnacyi uczuć moich, nie wolno nazwać się umarłym?

Tak jest, umarłem. I dziwnie; jeden z pierwszych pisarzy w medytacyi nad niedołężnością życia ludzkiego, wyrzekł: Wszystko jest tutaj niedołężne, niezupełne, a nawet i nieszczęście. A ja przecież znalazłem je zupełne, doskonałe, które absorbuje życie, i jest śmiercią. Nie to nieszczęście, o którem poeta śpiewa: „*Wzleciałem wyżej z nieszczęścia chmur, wyżej pod słońce czyste jak Ty*,“ ale nieszczęście w które się leci bez słońca, bez gwiazd, brudne, ciemne, bezbarwne. Przed sobą nic nie widziałem, a to, co za mną było, straciłem na zawsze. Najświeższe moje marzenia zlodowaciały i rozpłynęły się jak śnieg śród lata.

Dziwny zbieg okoliczności był powodem wyroku, że musiałem opuścić rodzinę i ojczyznę. Na tymczasowy mój pobyt przeznaczono mnie fortecę***. Tam miałem oczekiwać czyli wyrzuconego przez rozhukaną burzę na brzeg skalisty, podejmie dłoń łaski i napowrót odda wodom rodzinnym, czyli złowieszczy sęp zakraka nademną, że odrastającem ciałem serca mego żywić się będzie.

Nie byłem jednak więźniem, tylko mieszkańcem fortecy. Na pozór brałem udział w rozrywkach mieszkańców; paliłem cygaro, czytałem dzienniki, codziennie ubierałem się, chodziłem, nawet mówiłem. Spostrzegłem jednak, że to czyniłem przez nawyknienie lub naśladując innych. Byłem upiorem; przed sobą nic nie widziałem, za siebie patrzeć było mnie wzbronionem. W życiu słyszałem tylko jakąś dziwną waryacyą, bez tema, bez dominującej melodyi. Stanąłem więc niby w odwodzie życia, podczas gdy w koło mnie czerpano pełną dłonią z wód jego. Stałem nieporuszony, bez szału, bez zachwytu i dla tego miałem sposobność ujrzenia tego, co dla innych było ukrytem, lub na co zważać śród użycia nie mogli.

Mówią pospolicie, że kuglarz patrzących na jego kuglarstwa wprzódy wzrokiem omamić i oczarować musi. A gdy się wydarzy, że jakiś nie omamiony przez niego, przyłączy się do liczby patrzących, takowy ujrzy nagle oszustwo, i głośnym krzykiem wszystkich rozczaruje. Może być że wchodząc w obcą mnie społeczność, nie należałem do grona oczarowanych; mimo tego, śród tego grona zostałem oczarowany i złudzony czemsiś, na co to grono wcale uwagi nie zwracało.

Życie w fortecy odbywa się najczęściej według tych samych ścisłych a powtarzających się obliczeń, według których powstały jej linie fortyfikacyjne, pobudowały się domy; potworzyły się przestrzenie i przesmyki. O jednej godzinie opadają mosty, otwierają się bramy, a w chwili tej przybywa lub ubywa fortecy mieszkańców. Głównym jednak stafażem w widokach fortecy jest wojskowość. Grupy utworzone z innych stanów, zajmują miejsce podrzędne. Różni się tylko ten widok jednostajny, kolorem mundurów i stopniami snujących się żołnierzy. Cały ruch wewnątrz fortecy jest to zegarek, który nakręcany co rana, kończy swój bieg z ostatniem uderzeniem bębna retraity. W owej chwili przybiera forteca postać tajemniczą. Długie, regularnie wyciągnięte ulice, olbrzymie budowy składów i kasarni, wyglądające zpoza nich baszty i reduty, ruchome, przesuwające się na nich czarne punkta, z których czasem wystrzeli odblask broni, wszystko to niby milczące i martwe, a wewnątrz pełne życia i gwaru, który jak szmer roju wydobywa się przez oświetlone okna w noc ciemną, czyni dziwne wrażenie na samotnie błąkającym się mieszkańcu fortecy. Gmachy koszar, zazwyczaj trzy lub czteropiętrowe, oświetlone rzęsisto, wewnątrz gwarne i pełne migających się przez szyby postaci, a na zewnątrz martwe i smutne, otoczone głuchem milczeniem nocy, wydają się jak pałace duchów zaklętych, których światła najczęściej gasną z uderzeniem pewnej godziny. Na ówczas jakaś atmosfera grobowa owiewa fortecę, a głos czynnej straży na wałach, brzmi smutno i straszno jak głos sów i puchaczy. Czasami tylko przerwie się ta cisza. Rond żołnierzy, z latarką na czele, przesunie się z wolna i cicho przez puste ulicy, a echo ich kroków i brzęk broni, odzywa się przeciągle jak w puszczy.

Lecz z brzaskiem dnia zmienia się scena. Wtedy to najgwarniej w fortecy. Ze wszystkich ulic walą się kolumny wojska za bramy, do zwykłych ćwiczeń; a w kilka chwil potem, forteca zapada znowu w głęboki spokój. Znowu ta sama cisza co i w nocy, tylko oświetlenie dzienne odbiera jej widokom barwy tajemnicze. Występuje naga brzydka, a nie znośna dla tego, który w krańcach jej widnokręgu widzi krańce swej wolności i swobody.

Taką jest każda forteca w ścisłem znaczeniu słowa. Lecz ta, w której właśnie teraz przebywałem, czyniła poniekąd wyjątek. Była ona miastem, dość znakomitem, przez co miała więcej ruchu i życia, więcej różnobarwności i widoków. Mimo to życie jej nosiło zawsze właściwe fortecom piętno. Więcej jedynie było hałasu, a chociaż

na ulicy więcej widziano ubiorów i twarzy mieszczańskich, widziano zato i więcej uniform, słyszano więcej bęhnów i strzałów.

Była to noc czerwca na nowiu. Sklista a nieprzebita ciemność zalała atmosferę fortecy, ani wietrzyk nie musnął po liściach drzew w alei, wzdłuż której właśnie do mego pomieszkania dążyłem. Wybiła jedynasta. Echo roznosiło samotne kroki moje po całej fortecy, a gdym przechodził koło kościoła, podwoił się odgłos, jakgdyby nas więcej było idących. W istocie, zaginając w ulicę, usłyszałem wyraźniej kroki obce. A że nocna moja przechadzka, mogła być przez moją zwierzchność, pod której nadzor byłem poruczony, źle wytłumaczona, stanąłem, i nierobiąc stuku, ukryłem się za wyskok muru. Lecz zaraz spostrzegłem, że ostrożność moja była niepotrzebną. Albowiem idący na przeciw mnie zatrzymali się, również usłyszawszy mój chód, i widać było że się również lękali jakiegoś nie miłego spotkania. Byli właśnie niedaleko mnie. Z rozmowy mógłem wnosić, że było ich dwóch. Mówili głosem przytłumionym, językiem niemieckim:

— Wszędzie cicho, odezwał się jeden, miałem słuszność mówiąc, że to był odgłos naszych własnych kroków. Ta przeklęta ulica, naprzeciw kościoła, ona zawsze mnie straszy. Gdybym tu gwizdnął, słyszałbyś pisk i krzyk, jak by się czarci w piekle zaśmiali. To takie dziwne echo od kościoła.

— Czy ci djabeł językiem korbuje — odparł z widoczną złością drugi, czy chcesz mnie chleba pozbawić twojem przeklętem gwizdaniem? chcesz abym ci ten klucz Piotra do gardła wpakował?

— Z przeproszeniem — zagadnął pierwszy niby dowcipnie a niby glupkowato, moje gardło nie jest bramą do kazamat, a gdy tę w nocy otwierasz, to za to hojnie wynagrodzony jesteś. A ktoby za moje gardło co dał?

— Patrzcie, on już się uwziął zgubić mnie!

— Ej, śmiej się z tego, stary praktyku; grzeczność, którą ty tym ludziom wyświadczasz, nie jest tak bardzo niebezpieczną. A zresztą, gdybyś i te klucze Piotrowe stracił, dostałbyś za to od jakiego pięknego folwarku.

— Prawda, że ja jestem dobrym i miłosiernym chrześcianem. Bo cóż ja złego czynię. Czy więźnia którego wypuściłem? Że zezwolę biednej kobiecie kilka słów przez okno przemówić, cóż w tem złego? Wszak trzeba mieć sumienie, bo i oni są nieszczęśliwi.

— Co nieszczęśliwi, to prawda. Ja to czuję najlepiej. Gdy byłem w sztokhauzie za jakieś, jak mnie obwiniono, przyswojenie własności *kamrata*, na ówczas widziałem w starym Frycu mego anioła opiekuńczego, którego miłosierdzie i litość były cnoty, dane mu łaską Boga, aby nieszczęśliwym ofiarom losu niósł zasiłek i ukojenie. Codziennie podawał mnie sporą flaszkę kminkówki!

— Niech ci sam Lucyper to przeklęte gardło zakrztusi, wszak słyszysz, jak wszystkie twoje głupie słowa od świętego kościoła się odbijają? Aż mnie włosy na głowie stają za twoje bluźnierstwa!

— Jak widać, że cię pater tej niedzieli jak szczupaka w sieć złowił. Zapewnie się już spowiadać i komunikować będziesz na przyszły tydzień?.. Ale najsamprzód musisz zacząć od tego, iż „porządnym sposobem“ weźmiesz ślub z Fanny, z którą przeszło lat jedynaście na wiarę żyjesz!

— Milcz opoju! widać, żeś cały „tryngeld“ pod „złotym osłem“ zostawił.

— Będę milczał, bo widzę, że twój robak zaczyna się wiercić.

— Nie robak, ale przyznam ci się, bo już poczynasz mieć rozum, że dzisiaj nie jestem wcale w swojej skórze. Mam jakieś głupie przeczucie. A ty, opoju, mówiłeś jeszcze coś o sztokhauzie. Bodajbyś w złą godzinę nie wymówił!

— Oto się nie lękaj! Najfatalniejsze godziny są od dziewiątej do jedynastej z rana. W tych godzinach zazwyczaj biegają ulice.... przez rózgi!... A ja pamiętam..... jest temu dwa lata... gdym był przy pułku....

— A już feralny dzień dzisiaj! Zamuruję ci tę złodziejską gardziel...

— Złodziejską gardziel? to prawda. Ależbo złodziej złodzieja dopilnuje!...

— Cyt teraz, zabłysnęła już „nocna gwiazda.“ Daj Boże, aby nie było jakiego nieszczęścia.

Tutaj zamilkli mówiący, stojąc ciągle na zagięciu ulicy. Byli to dwaj podrzędni pomocnicy przy nadzorze wiezień. Widać, że szukali kogoś na miejscu umówionem. Mimowoli musiałem pozostać świadkiem jakiejś akcyi, bo wychodząc z mego ukrycia, postawiłbym siebie i ich w niebezpiecznej alternatywie.

Tymczasem pomiędzy drzewa alei poczęło od strony kościoła migotać błędne, niepewne światełko. Widziałem, że było obserwowane przez stojących koło mnie, i że się ku nam zbliżało. Przypomniałem sobie, że dwaj mówiący nazwali je byli „nocną gwiazdą,“ a zadziwienie moje wzmogło się, gdy z ciemnego ujścia alei ujrzałem to światło zwrócone ku nam w kształcie gwiazdy. Rzecz poczęła mnie interesować. Jakieś dziwne, dotąd nieopisane „rendez-vous“ odbywało się za pomocą tego symbolu, który niegdyś trzech króli przez błędne prowadził manowce. Lecz w tem tylko zachodził anachronizm, że tą razą, zdało się, służył ten symbol niebardzo uczciwej profesyi.

Nareszcie zdążyła „gwiazda nocna“ na zagięcie ulicy. Przysunąłem się do szarego muru jak tylko mogłem i dzięki memu również szaremu paletotowi, mogłem niepostrzeżony obserwować dalsze działania.

Na kilka kroków odemnie zatrzymała się „nocna gwiazdka.“ Byłto kształt małej latarki, która nie więcej światła dawała, jak świecące próchno. Mimo to mógłem bliżej

poznać postacie. Widziałem dwie kobiety, z których jedna stała na przedzie, trzymając latarkę i oglądając się z uwagą na wszystkie strony. Druga zdaje się lękliwsza, chowała się za postać pierwszej, szepcąc sposobem wykrzykników, od czasu do czasu jakieś niezrozumiałe, urywane słowa. W tej chwili zbliżyło się dwóch mężczyzn do nich. Wymieniono nawzajem kilka słów porozumienia się.

— Zagaś pani to głupie światło — odezwał się jeden; od niego więcej strachu niżeli jasności.

— Coś dzisiaj jesteś bardzo lękliwym — ozwała się niemieckim, jednak źle akcentowanym językiem, jedna z kobiet; a jednak zdaje mnie się nie masz potrzeby.

— Co to, to prawda — odparł tenże, tylko że ten przeklęty Filip, co ma stać na zwiadach, dzisiaj z djablem się zbratał.

— Nie bluźnij tak — przerwała mu druga, lękliwsza kobieta, bo przy takich wyrazach mnie samej straszno się robi.

— To pójdźmy — szepnął jeden z mężczyzn, a ty Filipie miej przecież głowę na karku.

— Ale ja nic nie widzę — zawołała jedna, ani kroku postąpić nie mogę.

— Podaj mnie pani rękę, ja znam każdy kamyk.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PRÓBY CIERPLIWOŚCI.

Gawęda gminna.

(Ciąg dalszy.)

IV.

Zpochmurniał mazur, siadł w kącie za stołem,
Wsparł się na dłoniach zasępionem czołem,
I długo siedział, śród gwaru i krzyku,
Słowa nie rzekłszy choć szlachta podpiła,
W żarty się wdawszy o starym budniku,
I o mazurach wymyślała siła.
Powstał nareszcie i wyszedł w milczeniu,
Nikomu nawet nie skinąwszy głową.
Dzień już przygasał na niebios sklepieniu,
A mrok rozpędził zgraję jarmarkową.
Pusto i głucho więc było na rynku;
Czasami tylko gwar huknął gdzieś z szynku,
Ryknęła krowa, szukając pastwiska,
Na miejskim bruku, lub zawrzały psiska.
Tylko za miastem daleko dokoła,
Po twardej drodze turkotały koła,
Spieszącej do dom jarmarcznej czeredy
Z poblizkich wiosek, i kiedy niekiedy
Zabrzmiała piosnka pobożna lub pijana.
Orzeźwiał mazur na wieczornym chłodzie,
A choć mu nieco gięły się kolana,
Odważnie ruszył ku swojej zagrodzie.
Spory to kawał drogi, moj mospanie!
I przez las trzeba przedzierać się głuchy,
I po pod smętarz! tam dzikie zwierzęta,
Tu mogą napaść czarty, lub złe duchy!..
A krzyż od czego? a modlitwa święta?
Śmiało Macieju, czy we dnie, czy w nocy!....
Ale Szuciłło! niech go porwą kaci!
»Nie będzie w niebie mazur prawowierny!?«
Poczekaj kumie! mazur ci odpłaci,
A w niebie będzie, bo Bog miłosierny....
Ja niecierpliwy, gorąco łapany!
Język mi wadzi i gębę mi parzy!....
O! Przenajświętsze Chrystusowe rany,
Brońcież mię, brońcie od ludzkiej potwarzy!
Język mi wadzi, żem skory do rady,
Żem chętny krzywdy powetować cudze,
Żem chętny bratnie ułagodzić zwady,
I kark nadstawić w braterskiej posłudze!
Poczekaj kumie, odpłacę ci srodze!

V.

I tak dumając, doszedł gdzie przy drodze,
Stała śród krzewin święta Boża męka.
Skruszony mazur z modlitwą przyklęka,
Pobożnie czapkę rzuciwszy na ziemię,
I Bogu składa swej żałości brzemię,
I na Szuciłę skargi wypowiada.
Wtem nagle głucho zaszeleszczą liście,
Jak kiedy wicher zaszumi ogniście...
Zrywa się mazur, do kija przypada;
«Wszelki duch Boga chwali!« głośno woła,
I trwożnym wzrokiem spojrzawszy dokoła,
Widzi przed sobą sędziwego dziada.
Siwy jak gołąb jak apostoł święty,
Długą, powiewną szatą był opięty,
Kostur miał w ręku a pod pachą księgi,
Na głowie tylko włos srebrzysty, długi,
A nad nim księżyc pisał złote kręgi,
I od szat biegły złote światła smugi.
Zdjęła mazura jakaś święta trwoga,
Poznał że przed nim to zesłaniec Boga,
Czy patryarcha, czy apostoł święty,
I padł na klęczki, cześcią wielką przejęty.
Więc starzec prawi: «Bóg słyszał twe żale»
—»Słyszał, zawoła Maciej ucieszony;
Niechże na wieki będzie pochwalony,
Po wszystkiej ziemi i w niebiesiech! ale
Mójże ty święty apostole miły,
Niechaj nie karze starego Szuciłły!
Dość mi, że będę sam w niebieskiej chwale.»
A starzec: »Będziesz; lecz by wejść do nieba,
Wprzód cierpliwości nauczyć się trzeba!»
—»Ja, żem cierpliwy, jak jagnię prawdziwe,
Tylko mię czernią języki złośliwe!»
Zawołał Maciej z żałością i płaczem.
A starzec znowu: «obaczem, obaczem...
Damy ci próbę...« —»Choćby sto i dwieście!
Wszystkie wytrzymam!» —znów Maciej wykrzyka.
—»Na co tak wiele? jednej będzie dosyć.
Oto za tydzień w tem zkąd wracasz mieście,
Staniesz na rynku, ale bez języka.
Czy będą grozić, czy łajać, czy prosić,
Milcz jak zaklęty, bądź ślepym i głuchym,
W nic się nie wtrącaj ni mową, ni ruchem,
A gdy statecznie tak wytrwasz dzień cały,
Bóg cię od swojej nie odrzuci chwały.»
—»O wytrwam, wytrwam dla takiej zapłaty!»
Zawołał Mazur i wyciągnął rękę,

Aby starcowi temu na podziękę,
Dotknąć ustami choćby kraju szaty;
Lecz starzec zniknął, jak senne złudzenie.
Tylko dokoła świętą Bożą mękę,
Na chwilę jasne oblały promienie,
Wionąc ku niebu tęczobarwną smugą.
Zdumiony Mazur długo jeszcze, długo,
Klęczał w pokorze i szeptał modlitwy,
Stanowiąc w duszy najszczersze obiaty,
Wyrzec się gniewu, i kłótni, i bitwy;
I ledwie rankiem powrócił do chaty.

VI.

Upłynął tydzień. Pan Maciej o świcie
Ruszył do miasta; naprzód na mszę świętą,
Gdzie prosił Boga, aby przedsięwziętą,
Dał mu wytrzymać próbę należycie;
Po mszy na rynek, i stanął śród tłumu,
Lecz mu nie brakło w złym razie rozumu,
Bo się przytulił, gdzie przeciw kościoła,
Święty Jan stoi, w kamieniu rzeźbiony;
Tam go pokusa dosięgnąć nie zdoła,
Święty mu swojej udzieli obrony.
Stoi więc Maciej, a w koło jak fala,
Tłum niezliczony toczy się, przewala,
I wre, i szumi, zdaleka i zbliska,
I coraz bardziej budnika naciska,
I wciąż go trąca, pod boki podbiera,
Jakto zazwyczaj bywa na jarmarku......
Nieraz już Maćka brała chętka szczera,
Tego owego zajechać po karku;
Lecz się powściągał i hamował w gniewie,
Tylko oczyma błyskał jak zarzewie,
Zgrzytał zębami i ściskał kułaki.
A czasem nadszedł i znajomy jaki,
Więc powitanie: „Ha! dobrydzień kumie!
Dziatwa jak się ma? żoneczka czy zdrowa?
Co u was słychać?"—Maciej ani słowa,
Niby nie słyszy, niby nie rozumie,
Albo plecami k' niemu się obróci,
Albo co żywo po za słup się rzuci.
Dziwią się ludzie: «co to dziś z budnikiem,
Że się nie wita i nie gada z nikiem?
I pod figurą stoi jak przykuty?
Miałżeby jakim być jawnogrzesznikiem,
Że się doigrał publicznej pokuty?»
Tak medytują i gwarzą ludziska,
I wszyscy hurmem biegą do figury,
Zrobiwszy sobie z Maćka dziwowiska.
A biedny Maciek wyłazi ze skóry,
A Maciek cierpi czyścowe katusze,
I tylko Bogu poleca swą duszę;
Lecz się powściąga i hamuje w gniewie,
Tylko mu oczy tlą się jak zarzewie,
Zaciska pięści i zębami zgrzyta.
Nareszcie tłum się napatrzył do syta,
Naśmiał się, nakpił, nadziwił do woli;
Nikt już budnika nie bada, nie wita,
I zgraja już się przerzedza powoli,
Bo przed wieczorem każdy do dom śpieszy.
Już tylko reszta niezliczonej rzeszy,
Tędy owędy snując się po rynku,
W drogę się zbiera. A Maciej się cieszy,
Że się nareszcie doczekał spoczynku,
I że zwycięzko wyszedł z ciężkiej próby.
Aż tu mospanie, z pobliskiego szynku,
Wypada raptem w ulicę, jak z procy,
Stefan z Jędrzejem wziąwszy się za czuby.
Gwałt! rozbój! krzyczą oba z całej mocy,
I pośród miasta bój srogi się toczy.
Jędrzej wysoki, to Goliat prawdziwy,
Stefan maluczki, lecz zwinny i żywy,
Raz wraz przysiądzie i raptem podskoczy,
I chlust Jędrzeja w gębę, a tak składnie,
Aż miło patrzyć! A Jędrzej ciemięga,
Machnie i mimo, bo Stefan przypadnie,
I ujdzie razu, i znów z dołu sięga
Z podskokiem ostro w gębę Jędrzejową.
A Jędrzej stoi, jakby połknął kija,
Machać to macha, lecz wroga omija,
Tylko mu świszcze z kułakiem nad głową!
A popod szynkiem szlachta kupą stoi.
I żarty sobie z Jędrzeja wciąż stroi,
I aż się bierze ze śmiechu za boki,
Że głupi Jędrzej, choć taki wysoki,
Za nic kusego Stefana nie zmoże!
Maciej spogląda: «Ej miły mój Boże!
Gdyby tak na mnie, myśli sobie w duszy,
Tobym mospanie porwawszy za uszy,
Przez kościoł machnął tego pimperleja.»
Lecz się odwraca, bo krew w nim się burzy,
Patrząc jak Stefan obkłada Jędrzeja.
Stał tu z godzinę twarzą do figury,
Spluwając tylko w gniewie; ale dłużej
Nie mógł wytrzymać: «A z góry go, z góry!»
Krzyknie i raptem skoczy na Stefana,
I dla przykładu porwie go za barki!
Lecz nagle struchlał, zakrzepł budnik stary,
Dziwna bo zaszła w jego oczach zmiana,
Cała gromada przepadła bez wieści.
A z rąk mu diablik wyrwał się z chichotem,
I czmychnął goniąc kurzawę po mieście,
I strzechy z chałup zrywając przelotem.

VII.

Stał Maciej długo, bijąc się z myślami,
Wreszcie i plunął, machnął gniewnie ręką,
I do dom ruszył. Aż pod bożą męką
Znowu dziad stoi pomiędzy drzewami,
I sam zaczyna: «Cóż panie Macieju?
Snać chcesz koniecznie gorzeć z djabły w smole!»
A Maciej z płaczem: «Ach mój dobrodzieju!
Mój miłościwy święty apostole!
Ratuj mą duszę od wiecznej zaguby!
A pozwól proszę jeszcze jednej próby!»
A starzec zasię: „Próby ci dozwolę,
Ale już pono trudna z waścią rada!
Jak proch leszczyński od iskierki lada,
Wybuchasz gniewem zą lada pozorem!«
—»Cóżbo mam począć z przeklętym ozorem,
Co mi się gwałtem het wydziera z pyska?
A tu, jak na toż, drażnią mię ludziska,
W zmowie z diabłami. Lecz niechaj przepadną,
Jeśli tą razą nie zmogę pokusy!
Nic już nie wskóra ze mną diablik kusy!
Nic nie wskórają ludziska szkaradne!!

Wytrzymam próbę i na złość Szucille,
Pójdę do nieba." A starzec mu na to:
—„Niebo cierpliwych i cichych zapłatą!
Pamiętaj o tem, a próba gotowa:
Znowu za tydzień, jak dzisiaj tak samo,
Staniesz w tem samem miasteczku pod bramą;
Ale pamiętaj, żebyś ani słowa,
Z ust nie wypuścił! bądź ślepym i głuchym,
W nic się nie wdawaj ni mową, ni ruchem,
A gdy statecznie tak wytrwasz dzień cały,
Jeszcze cię przyjmie Bóg do swojej chwały."

—„O wytrwam! wytrwam!" I znów czcią przejęty,
Budnik starcowi chciał uściskać stopy,
Lecz znów, jak we śnie, nagle zniknął święty,
Blask tylko wielki oblał niebios stropy. (D. n.)

Najnowsze dzieła.

Zgoda Senatorska, tradycya szlachecka.

(Opowiedział Wincenty Pol. Petersburg 1854.)

(Dokończenie.)

Sama osnowa poematu poczyna się od rodowodu Krasickich i wysokich cnót tej rodzinie właściwych. Najwyższą zaś cnotą autor mieni, iż dom, co mógł o lepsze chodzić w kraju z najpierwszemi, przestawał poważnie na służbie i ziemi! Z woli braci gdy padło przyjąć urząd jaki, to chyba tylko ziemski albo powiatowy. Panegiryków tych poecie zupełnie za złe mieć nie można! Skoro mu z układu poematu wypada jakąś postać podnieść, a do podniesienia tego i apoteoza rodziny całej, choćby nawet dotąd żyjącej, przydać się może, dla czegoż poeta i tego środka chwycić się nie ma?... Dalej poeta mówi, iż matrony tego domu były jeszcze poważniejsze, bo cnota jak u świętych, blask jak od korony! Na dowód przytacza tradycyę o jednej z tego rodu, poślubionej Jaśkowi z Nowego miasta, porwanej poźniej w jassyr. Ustęp ten stanowi znowu osobną powieść, osobną gawędę, czyli baladę. Mąż porwanej na Rzym i Maltę udaje się do Stambułu, gdzie żona jego w seraju zostawała. Sułtan żądał od niego, aby mu lat siedm służył, a odda mu potem żonę.

I Jasiek przez lat siedm niósł mord i pożogi,
W kraju buntu jak Janczar, jako tygrys srogi,
I tyle grodów spalił i pogan wytępił,
Że mu się przy tej pracy w końcu duch zasępił,
A o tej sławie żona słuchając w seraju,
Nie pragnęła już szczęścia, wróciwszy do kraju,
Lecz poszła do klasztoru.

Dalej jest odrysowany książę biskup warmiński, dla którego podniesienia rodzinę całą tak świetnie opisał poeta.

Z tego domu Krasickich jak gwiazda wypłynął,
Mąż wielki co w narodzie i w świecie zasłynął,
Chyba Jan Kochanowski, za swojego czasu,
Gdy ranną pieśń wyśpiewał od Czarnego lasu,
Miał równą sławę w Polsce i tak wdzięczne chęci,
Jako biskup warmijski za mojej pamięci.

Biskupa warmijskiego opisał poeta więcej z tradycyj rodziny Krasickich, w której kole lat kilka sam poeta przeżył, niż z tradycyj narodowej. Nie podniósł go czyny publicznemi, lecz patryarchalnemi cnotami, i to tak biskupa samego, jak i jego rodzinę.

Najpiękniejszym ustępem w całym poemacie jest opis lipy stojącej na dziedzińcu w Dubiecku, pod którą biskup siadywał, zwanej do dziś dnia od wszystkich ksienią.

Ksienia była i domem i niby osobą,
I dla wszystkich przytułkiem, wszystkiemu ozdobą,
I sub umbra jej skrzydeł jak w Arce Noego,
Chowało się niemało stworzenia Bożego.

W pniu jej żyła ukryta i kuna i łaska,
Którą stary kredencerz chwytał na żelaska,
Na jej jednym konarze od strony ogrodu,
Siadywały pod wieczór zwykle wszystkie pawie,
A na drugim co wybiegł daleko od wschodu,
I wygiął się ku słońcu, aż kabłąkiem prawie,
Stało kilka pni starych, na pamiątkę roju,
Co tu osiadł przed laty i ksienię przystroił,
A ile dziatek małych bywało w pokoju,
Tyle zazwyczaj rojów stary ul wyroił.
Kiedy ksienia okwitła i pszczoła zagrała,
To już i woń i lubość taka uderzała,
Że żal było i odejść z ciemnego podsienia,
I na ów czas mawiano: „że się modli ksienia."
A gdy puszczyk się ozwał na niej nocną porą,
Co gdzieś w suchym konarze miał gniazdo pod korą,
To całemu domowi za wyrocznią służył,
Bo dzieciom kolebeczki, starym trumny wróżył!

Wiewióreczki lubiła sama pani domu;
Więc gdy wiewiórkę chwycić zdarzyło się komu,
Przynosił ją do zamku — a ułaskawiona,
Żyła sobie na lipie z rąk codzień żywiona.
Ztąd cały rój wiewiórek pląsał w cieniu ksieni,
I miło było spojrzeć w górę po zieleni;
Bo żeby jakie człeka ogarnęły smutki,
To gdy usiadł pod drzewem i patrzył na pląsy,
Które nad nim stroiły zwinne bałamutki,
Musiał się rozweselić i pokręcić wąsy.

Stokroć powtórzony już w rozmaitej formie a zawsze niezgrabny jest koncept o strzelaniu do korka jejmości. Mówi poeta, iż gdy jegomość się podochocił a wiewiórki zbiegały z lipy na kamienne stoły, to jegomość do pani:

„Hej rybko aniele,
A podaj wasze korek, bo w wiewiórkę strzelę.

A jejmość ocalając wiewiórkę, nastawiała korek od trzewika, a jegomość ani na włos nie chybił, i korek z pod trzewiczka przy nóżeczce wybił.

Dziwna rzecz! strzelanie do korka było u nas jedynie mytem, bajeczką, opowiadaną sobie z pokolenia w pokolenie. Jeżeli się kiedy zdarzyło, to było niezawodnie najwyraźniejszym objawem dzikości, barbarzyństwa. Pisarze

zaś niektórzy ten czyn barbarzyński otaczają jakąś aureolą bohatyrstwa!

Gdy przyjechał ksiądz biskup do Dubiecka, zjechała się tam szlachta z całej Sanockiej ziemi, ba nawet i z przyległych innych, aby powitać sławnego z ich województwa wyszłego męża. Między innymi przyjeżdżali zawsze do Dubiecka starosta Mniszech z Laszek i Bal, podkomorzy z Baligroda:

Lecz potrzeba nieszczęścią, że dla sprawy małej,
Waśń się wielka zrobiła i to w ziemi całej,
Podkomorzy miał serce i potężną głowę,
I gdyby Jan Chryzostom tak piękną wymowę,
Nigdy on się w doborze słowa nie omylił,
Lecz gdy imię starosty wymówić się silił,
To choć sam się poprawiał, sam sobie przerywał,
Nigdy inaczej Maiszcha jak Mniszkiem nazywał.

Pan starosta Mniszech się gniewał coraz zacięciej; nic nie pomogły tłumaczenia się podkomorzego, że to nie jest złą wolą, lecz że tego cha nigdy wymówić nie może:

Nie wierzył mu starosta z swoją partyą całą,
Aby szlachetne imię z gardła wyjść nie chciało.

Waśń ta przybierała coraz więcej zaciętości to na zjazdach przedsejmikowych, to na sejmikach. Osobliwie gdy raz starotsa wyprawił w jakimś gaiku ucztę na cześć księcia biskupa, z cyfrą *cuius festum* w gwiazdę oświeconą, i z strzelaniem z moździerzów, a wszyscy mówili: „że już stało na tem," podkomorzy był innego zdania i zamyślił zawstydzić całą partyę starościańską i cały ten festyn zohydzić. Zwołał więc swoich partyzantów na naradę. Postanowili na wszystkich okolicznych górach i na Sanie pozapalać w jednej chwili sobótkę.

I jak się kilku ze szlachty z cicha zawinęło,
To i sto beczek smolnych gdzieś się w punkcie wzięło,
I ktoś wszystkiem zarządził, w punkcie pozapalał,
I tysiącem kagańców cały San się zalał,
I rozgorzały góry do razu jednego,
Od samej Niemadowy, aż hen do Winnego!
A gdy rzecz się wykryła, sprawa bardzo prosta,
Że Pan Bal poszedł w górę, a na doł Starosta!

Otóż książe biskup postanowił pogodzić powaśnionych. Ale wiedział o tem że prawdziwa zgoda:

Nie dojdzie między szlachtą jak żywo bez paktu
Bez bardzo solennego i jawnego aktu,

Sprosił więc wszystkę szlachtę do Dubiecka i tam przy obiedzie, przy siódmym kielichu pogodził powaśnionych. (Sama akcya tego poematu, Zgoda Senatorska, jest bardzo słabo pomyślana i przeprowadzona dosyć chromo. Tak jak jest podniesiona, wystarczyłaby zaledwie do napisania krótkiej, kilku ćwiartkowej najwięcej ballady, czy gawędy. Akcya sama nie ma idealnej poetycznej w sobie strony, bo nie ma wyższego celu tej zgodzie zamierzonej nigdzie jasno wytkniętego. Trudno więc z tego było i coś wyrobić większego, piękniejszego.) Śród samego aktu zgody wprowadza autor sędziego Chojnackiego i biskupa Krasickiego opowiadających dwie gawędy, a z których każda dla siebie osobną całość stanowi. Jednę z tych gawęd umieściliśmy w Nrze 65. Nowin: o Leszczyńskim i Popielu; druga o szlachcicu Krupie, jadącym do Rzymu z skargą na biskupa, była już dawniej drukowana w Orędowniku poznańskim.

Gawędy te z całością osnowy prawie żadnego nie mają związku, a opowiadanie ich, chyba dla pokrycia czczości akcyi samej, czy dla przedłużenia poematu, jest nawet dosyć niezgrabnie wprowadzone.

Na tem kończymy przegląd Zgody Senatorskiej, raz jeszcze powtarzając, iż ustępy pojedyńcze, jak o radzie familijnej, o lipie dubieckiej, dalej osobną całość dla siebie stanowiące gawędy: o Jaśku z Nowego miasta, Korupie, Popielu i Leszczyńskim są prześliczne lecz treść poematu samego wątła, budowa artystyczna krucha, całość więc pożądanego wrażenia nie czyni.

Rozmaitość.

* **Nowy etnograficzny podział narodu polskiego.** Znany jest pociąg niektórych naszych uczonych do upatrywania osobnych narodów w każdym powiecie. Według nich galicyjskie Bojki, Hucuły, Opryszki, chłopy w czarnych sierakach, chłopy w białych chołoszniach—to tyleż różnych narodów. Nigdy przecież nie czytaliśmy, iżby i emigracya polska osobnym była narodem. Mieliśmy ją zawsze za nieszczęście każdego nią dotkniętego; mieliśmy ją czasem za rzemiosło, praktykowane przez wielu próżniaków i wartogłowów; lecz mieć ją za osobny szczep narodu, za składową cząstkę odwiecznego organizmu narodowego, za tak konieczny narodowi polskiemu warunek, jak konieczna jest urodzić się albo Mazurem, albo Kujawiakiem albo Podlaszaninem, słowem, za tak przyrodzoną właściwość narodowości polskiej, jaką niestety jest kołtun albo wola sandecka—to zaprawdę tylko od stołów wirujących usłyszeć spodziewaliśmy się. Aż tu wydany temi dniami we Lwowie pierwszy zeszyt **Rysu Dziejów narodu polskiego** p. Henryka Schmita uczy nas, że naród polski składa się z Polaków, Morlaków, Kaszubów i Emigrantów. Kto nie wierzy, niech spojrzy na 55 stronę **Rysu** pomienionego a znajdzie tam dosłownie: „Dziś obejmuje dział zachodni (szczepu sławiańskiego) następujące **narody**: I Łużyczanie. II Czesi, do których załączamy a) Czechów właściwych b) Morawców c) Słowaków węgierskich. III. Polacy. a) Polacy w dawniejszych ziemiach polskich, b) Morlacy w Morawii, Wasserpolen, c) Kaszubi, d) **Wychodźcy**, którzy po r. 1831 ojczyznę swoją opuścić musieli i dziś w różnych krajach Europy a nawet w innych częściach ziemi mieszkają w liczbie przeszło 10,000." — Czemuż szanowny autor nie dodał: e) **Rekruty**, które dziś w różnych prowincyach monarchii Austryackiej a niekiedy nawet w Rzymie i Hamburgu, załogą stoją w liczbie około 15 000. f) **Wojażery**, które dziś po różnych krajach europejskich, a niekiedy nawet i Syryi, niestały wiodą żywot, w liczbie „mniej więcej" 5,000 itp. itp.. Byłaby to o wiele dokładniejsza, a przedewszystkiem **polska** informacya dla podróżników jak Kohl na którego niedostateczność autor na str. 67 mówiąc o Olbii i Herodocie, tak słusznie ubolewa!

* W Londynie pojawiło się niedawno ciekawe dzieło *„o Rossyi."* Autorem tego dzieła jest Dr. Robert Lee, który od roku 1824—1825 był lekarzem hrabiego (a teraz księcia) Woroncowa. Między innemi opowiada ciekawy *pendant* do sławnych malowanych wsi Potemkina. Gdy Car Aleksander w roku 1821 zwidzał osady wojskowe w Krymie, wstępował do każdego domku kolonisty, a gdy to było w południową porę, znajdował więc wszędzie zastawiony właśnie porzą-

dny obiad. Między potrawami główne miejsce zawsze zajmowało prosię. Książę Sergiej Wołkoński, który Carowi towarzyszył, wpadł na domysł, iż w tem jest jakiś podstęp. W jednym więc domku urznął prosięcia ogon i schował do kieszeni. W drugim czy trzecim w pobliżu domu zastali znowu na stole ustawione prosię, lecz bez ogona. Książę Wołkoński rzekł do Cara: «To już dawniejsza jak mi się zdaje znajomość!» Gdy Car zapytał, co przez to rozumie, wyjął książę ogon z kieszeni i przyłożył do prosięcia. Widocznie prosię było to samo. Żart ten miał przyprawić księcia o łaskę Carską. Hrabia Arakczejew, założyciel osad wojskowych w Krymie stał się księcia Wołkońskiego najzaciętszym przeciwnikiem. Za panowania Cara Mikołaja w roku 1826 wysłany został Wołkoński na wygnanie do Syberyi.

* Książę Cambridge jest najbliższym krewnym królowej Wiktoryi. Ojciec jego, królewicz Adolf książę Cambridge, był najmłodszym synem Jerzego III. Starsi obaj synowie tego króla, byli na tronie angielskim, pierwszy jako Jerzy IV, drugi jako Wilhelm IV. Obaj zmarli bezdzietni, a korona przypadła królowej Wiktoryi, córce księcia Kent, który był trzecim synem króla Jerzego III. lecz wprzód był zmarł, niż starsi dwaj bracia jego. Królowa angielska jest więc siostrą stryjeczną księcia Cambridge. Oboje są w jednym wieku. Urodzili się w roku 1819. Przed wyjazdem swym do Turcyi był książę Cambridge jenerał-majorem w wojsku angielskiem, dowódcą wojsk konsystujących w Dublinie, jeneralnym inspektorem, pułkownikiem w szkockiej piechocie i w gwardyi i właścicielem hanowerskiego pułku dragonów. Starsza siostra jego poślubiona jest następcy tronu księstwa Meklembursko-Strelickiego, starszemu bratu owego księcia Meklemburskiego, który niedawno w poselstwie przybył do Berlina od Cara Rossyjskiego.

* Amerykanin Dr. Blöde doszedł po wielu doświadczeniach do tego rezultatu, iż mężczyzna między 30. a 40. rokiem, waży w przecięciu 135 funtów. Kobieta zaś jedynie 119 funtów. Jako jedne z przyczyn tej różnicy podaje okoliczność, iż mózg mężczyzn waży w przecięciu 3½ funta, mózg u kobiet nigdy więcej nad 3 funty. Również serce mężczyzn waży w przecięciu 24 łuty, u kobiet zaś nie więcej nad łutów 19. Niechże po tem sprawdzeniu nikt z kobiet nie zarzuca żadnemu mężczyznie, iż mało ma muzgu i serca!

* **Żelazny tunel.** W Ameryce północnej w Cincinnati mają zbudować popod rzekę Ohio tunel w zupełnie innym sposobie, jak zbudowany jest sławny tunel pod Tamizą. Nie będą kopać tunelu pod łożyskiem rzeki, lecz spuszczą na dno rzeki tunel z żelaza całkiem zrobiony.

* Dowiadujemy się z Krakowa, że panna Szuszkiewiczwna, znana nam artystka dramatyczna, występywała w roli gościnnej, i to w Satyrze dialogowanej (jak się wyraża sprawozdawca Czasu) pod napisem *Ulan* i *Grenadier*, i podobała się dosyć. Sprawozdawca chwali i samą sztukę, czyli raczej tłumaczenie, którego wiersz jest gładki i ma niby formę sentencyi i zwrotami mowy przypominać epokę roku 1828. Za autora tej sztuki podaje Souliego, znanego pisarza francuskiego. Sztukę tę znamy także, bo przedstawioną była we Lwowie jeszcze za życia hr. Skarbka; główne role *Ulana* i *Grenadiera* miały pp. Aszpergerowa i Łozińska. I później już, bo przed rokiem może, za dyrekcyi p. Pfeiffera, przyszła znowu na scenę z nowemi poprawki. Główne role oddane były przez pp. Szuszkiewiczownę i Radzyńską; sztuka podobała się i kilka razy w krótkim przeciągu czasu przedstawioną była. Lecz nie jest ani Souliego, ani z francuskiego tłumaczona. Autorem tej dowcipnej komedyjki po niemiecku napisanej, jest p. *Marsano* c. k. austryacki jenerał brygady przy piątym korpusie. Była drukowana pod tytułem *Die Helden*; przepolszczył ją zaś i zastósował do polskiej publiczności p. *Wincenty Thullie* znany autor i tłumacz wielu dzieł dramatycznych około roku **1840**. Sztuka ta ma temi czasy wyjść z druku w polskim przekładzie.

Przyjechali od dnia 4 do 7. czerwca do Lwowa:

PP. Janiszewski Juliusz, z Woleniowa. Zabielski Ludwik, hr, ze Złoczowa. Eminger Wilhelm, z Wiednia. Karnicki Teodor, hr. z Michałowic.

PP. Dubiński Maurycy, z Krystyanopola. Janiszewski Ignacy, ze Żurawna. Witkowski Tadeusz, z Gródka.

PP. Woyna Ignacy, z Pietrzyc. Starzeński Michał, hr. z Olejowa. Borkowski Włodzimierz, z Lubieniec. Skolimowski Julian, z Dynisk. Zaremba Bolesław, ze Złoczowa. Nowosielski Ludwik, ze Zbory. Chojecki Zygmunt, ze Stanisławowa. Harasimowicz Marcin, z Teysarowa. Kowalski Ignacy, z Teysarowa. Ostaszewski Seweryn, z Krakowa. Szczepański Franciszek, ze Stanisławowa. Żulawski Andrzej, z Czerniowic.

PP. Spausta Damian, z Drohobycza. Mier Henryk, hr. z Buska

Wyjechali od dnia 4 do 7. czerwca ze Lwowa:

PP. Nahujowski Antoni, do Czernicy. Torosiewicz Franciszek, do Czeremchowa.

PP. Pietruski Józef, do Brzeżan. Czaykowski Teodozy, do Tuczemp.

PP. Dzieduszycki Jan, hr. do Stryja. Janowicz Aleksander, do Sieniawy. Ciepelski Jan, do Stryja.

Frank Ferdynand, do Nahaczowa. Schner Edward, do Czerniowic.

Lwów 7. czerwca.— Na dzisiejszym targu płacono korzec Pszenicy ozimej po 24 złr. — kr. do 28 złr. — kr. — Żyta po 24 złr. — kr. do — złr. — kr. Jeczmienia po 17 złr. — kr. do 18 złr. — kr. Owsa po 12 złr. 30 kr. do 13 złr. 30 kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 20 złr. 30 kr. do — złr. — kr. — Ziemniaków po 10 złr. — kr. do 12 złr. — Sąg drzewa bukowego 25 złr. 45 kr. do — złr. Sosnowego po 20 złr. 15 kr. do — złr. — kr. w. w. Centnar siana 2 złr. 15 kr. do złr. 3 kr. —. Centnar słomy 1 złr. 50 kr. do 1 złr. 59. kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity — Złr. — kr. m. k.

Kurs lwowski.

Dzisiejszy.		Gotówka			towarem.	
Dukat holenderski	złr.	6	kr. 12	złr.	6	kr. 16.
Dukat cesarski	»	6	» 17	»	6	» 20.
Półimperyał zł. rosyjski	»	10	» 45	»	10	» 50.
Rubel srebrny rosyjski	»	2	» 5	»	2	» 6.
Talar pruski	»	2	» —	»	2	» 1.
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	» 30	»	1	» 31.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr.	»	92	» 18	»	92	» 35.

Kurs telegrafowany z Wiednia w sobotę o 2 g. popołud.

Amszterdam.	112¼.	Marsylia	156½.
Augsburg za 100 złr.	133¾.	Medyolan za 300 lirów	132¾.
Bukareszt	—.	Paryż za 300 franków	156½.
Frankfurt za 120 złr. podług 24½ stopy	133.	Agio duk. ces.	
		Srebra agio	33.
Genúa.	—.	Pożyczka 5%	87⅛. 4½ 77.
Hamburg za 100 tal. banco.	98¼.	Pożyczka lit. B.	—
Konstantynopol.	—	Akcye banku	1232.
Liwurno.	130.	Kolej północna	2143¾.
Londyn za 1 funt szterl.	12. 58.	Obl. ind.	5%. —

TEATR POLSKI.

W piątek dnia 9. czerwca. **Ojciec Perin** czyli **Szpieg Bonapartego.** Komedya w 2ch aktach, przez Alfonsa Karr. Nastąpi **Talisman niewidzialności.** Krotofila w jednym akcie z niemieckiego.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**